

Po każdej swojej roli, zarówno teatralnej, jak i telewizyjnej, Zofia Kucówna otrzymuje setki listów od widzów. Tajemnicą tak wielkiego rezonansu społecznego jest chyba to, że ta znakomita aktorka nie kryje się za swymi bohaterkami, nie szuka przeobrażeń za wszelką cenę, lecz oddaje postaci własną psychiką, patrzy na nie poprzez własną osobowość.

— Jakle jest Pani credo aktorskie? Czy zgadza się Pani z tą krótką charakterystyką?

Rzeczywiście, najbardziej odpowiadają mi role, pod którymi mogę się podpisać ja sama, chociaż osadzona w wymyślonych przez autora sytuacjach, warunkach, okolicznościach. Nie lubię teatralizacji, sytuacji sztucznych. Dobrze się czuję, gdy mogę utożsamiać się z rolą.

— Które ze swych ostatnich doświadczeń aktorskich uważa Pani za najciekawsze?

— Swego rodzaju przełomem w moim życiu teatralnym stał się monodram „Maria” Ireneusza Iredyńskiego. Po raz pierwszy jestem aż do tego stopnia sam na sam z publicznością, patrzę prosto w oczy ludzi, śledzę bezpośrednio ich reakcje. Widownia nie jest dla mnie anonimowa. Po raz pierwszy poznałam tak dokładnie swe możliwości, uwierzyłam w swe siły.

Skłonić kilkaset osób do skupienia i takiego słuchania, o jakich mi chodzi; do takich reakcji, jakich ja sobie życzę — to ogromna radość. Wychodzę i mówię w swym własnym imieniu. A nawet improwizuję, przystosowując treść do konkretnego środowiska.

Jestem gadulą. Łatwo nawiązuję kontakt z innymi w każdym miejscu. Dzięki „Marii” częściej niż zwykle jeżdżę po Polsce. Dobrze jest ruszać się z miejsca. Nie patrzeć na wszystko poprzez pryzmat stolicy, biegając niezmennie od radia i telewizji do teatru.

— Jest Pani nie tylko aktorką, ale również żoną dyrektora, a taka życiowa rola jest zawsze trochę podejrzana w teatrze. Czy Pani to odczuwa na własnej skórze?

— Aa, to temat tabu. Tym py-

Zofia Kucówna:

Z własną twarzą

taniem przerwała pani pewną konwencję. Ponieważ jestem osobą traktującą wszelkie pytania serio postaram się zadowolić pani ciekawość.

Wiadomo, że niektórych tematów przy żonach się nie porusza; uważa się, że przy nich nie można pewnych rzeczy powiedzieć, bo one przecież „robią obsady, wtrą-

cają się, donoszą, informują”. Ci, którzy patrzą nieufnie, nie chcą pamiętać o tym, że najczęściej, zanim zostaje się żoną dyrektora, bywa się już samodzielną aktorką. Ze ma się jeszcze swoje własne życie zawodowe poza meżowskim teatrem.

— Przepraszam, ale są to stwierdzenia dość ogólnikowe...

— Bardziej osobście wolałoby pani? Proszę bardzo. Ci, którzy zadali sobie trochę trudu, aby mnie poznać, weszli ze mną w bliższe koleżeńskie kontakty, wiedzą kim jestem, niezależnie od związku z człowiekiem, który prowadzi teatr i który w dużym stopniu decyduje o moich losach artystycznych. Jestem członkiem zespołu, wariacją samą dla siebie, tak jak inni.

O samym dyrektorze wiem więcej niż inni. Ale w niektórych sprawach teatru są ludzie bardziej zorientowani niż ja. Zabieram głos wtedy, gdy jestem w obsadzie, garduję, wyklócam się — bo przecież tyczy to mnie i naszego wspólnego przedstawienia. Szanuję Adama Hanuszkiewicza jako reżysera, cenię go najbardziej ze wszystkich reżyserów. Jest dla mnie najlepszym autorytetem, mimo że dochodzi między nami, co jest rzeczą naturalną, do konfliktów artystycznych, na próbie, na scenie. Spraw teatralnych staramy się nie przenosić na teren domowy. To się udaje w początkowej fazie prób, potem, im bliżej premiery, tym odleglejsza staje się zasada.

— Czy takie ściśle rozgraniczenie: tu kończy się teatr a zaczyna się dom, jest w ogóle możliwe?

— Mogę mówić tylko o sobie. Mam wielkie uznanie dla Hanuszkiewicza jako reżysera. Jeśli natomiast chodzi o nauczanie mnie prowadzenia samochodu czy nowej gry w karty, jest w stosunku do mnie antypedagogiem. Są to po prostu różne sprawy.

Z moich kobiecych obserwacji i doświadczeń wynika, że w tych dziedzinach lepszym pedagogiem jest cudzy mąż i pojętniejszą uczennicą jest cudza żona. A dlaczego? To przecież takie proste.

Rozmawiała: BARBARA HENKEL

